

Piotr Krywak

### „Formuła Lymphatera” Stanisława Lema – zapomniana opowieść o Ijonie Tichym?

Wśród problemów, jakimi zajmują się badacze literatury, znajdujemy zagadnienia o znaczeniu doniosłym, rzecz można fundamentalnym, w istotny sposób wzbogacające wiedzę o dziejach piśmiennictwa, oraz problemy drobniejsze, drugorzędne, frapujące ciekawostki, których rozwiązanie nie przynosi istotnych korzyści literaturoznawstwu. O takim właśnie problemie, a raczej „problemiku”, będzie tym razem mowa. Sposób jego rozwiązania wydaje się z pozoru prosty: jeśli autor, którego prozy dotyczy nurtująca nas kwestia, jest twórcą współczesnym, żyjącym, wystarczy go zapytać, jak się rzecz miała, by uzyskać odpowiedź. Zdarza się jednak, że zagadnięty o sprawie nie pamięta, bo interesujący nas szczegół był dlań nieistotny, nadto zaś jest tylko człowiekiem, który ważne z naszego punktu widzenia okoliczności może z różnych względów przemilczeć, zataić, lub – świadomie albo i nie – przedstawić w wersji odbiegającej od prawdy. Literaturoznawca bywa w takich sytuacjach bezradny, bo przecież wiarygodności cudzego oświadczenia – jeśli nie jest telepatą, a innych źródeł osobowych brak – zweryfikować nie zdoła. Dręczony ciekawością, koniecznie pragnąc rozwikłać nurtujący go problem, porusza się zatem w gąszczu domysłów, przypuszczeń i hipotez, starając się wybrać zeń tę, która w jego mniemaniu jest najbliższa prawdy. Jedynym zaś źródłem wiedzy, z którym może wiązać nadzieję na rozwiązanie zagadki, okazuje się twórczość pisarza, jego dzieła. Ich analizy i porównania ułatwiają gromadzenie dowodów pośrednich, jak powiedzieliby prawnicy – poszlak, na których ostatecznie wesprze się wyjaśnienie. Droga ta nie daje – jak widać – stuprocentowej pewności, uzyskaną odpowiedź czyni jednak wielce prawdopodobną. Podążymy nią w niniejszym szkicu.

Gdyby kwartalnik „Tichiana” nie pozostawał tylko literacką fikcją, a istniał naprawdę, niniejszy tekst mógłby z powodzeniem trafić na jego łamy, dołączając do takich uczonych rozpraw, jak wzmiankowane przez profesora Tarantogę dzieło E.M. Sianko *Wyściółka lewej szuflady biurka I. Tichego – manuskryptem jego nie*

publikowanych prac. Porzućmy jednak autoironię; mowa bowiem będzie o *Formule Lymphatera* Stanisława Lema i jej związkach z *Dziennikami gwiazdowymi*. Temat to jak najbardziej poważny, choć jest z nim trochę tak, jak ze wspomnianą wyściółką szuflady: opowiadania wprawdzie nie zapomniano, lecz wiedza o tym, że przez krótki czas pozostawało ogniwem serii o Tichym – zanikła. A że nowela to istotna i w dorobku literackim pisarza znacząca, warto się nią zająć.

Przejdźmy wszakże do rzeczy: utwory grupowane od 1957 r. w tomach znanych jako *Dzienniki gwiazdowe* zaczął Lem pisywać jeszcze w okresie stalinowskim. Niektóre z nich weszły na przykład do zbioru *Sezam i inne opowiadania* (1954). Z biegiem lat ułożyły się w dwa, zawsze drukowane razem, cykle. Pierwszy tworzą numerowane relacje z podróży bohatera; drugi – wyróżniane cyframi rzymskimi lub słowną tytulaturą – opowieści *Ze wspomnień Ijona Tichego*.

Pierwodruki niektórych opowiadań o Tichym ukazywały się najpierw w – zawierających różne teksty – zbiorach nowych utworów Lema. Dopiero później, w kolejnych, stale poszerzanych wydaniach *Dzienników gwiazdowych* dołączano je do jednego lub drugiego cyklu. Nie inaczej miała się rzecz w 1961 roku, kiedy to nakładem „Iskier” opublikowano *Księgę robotów*<sup>1</sup>. W książce tej wydrukowano między innymi *Formułę Lymphatera*, której tytuł edytor poprzedził w spisie treści inskrypcją: *Ze wspomnień Ijona Tichego*, odnoszącą się ponadto do jeszcze jednego, ulokowanego zaraz za *Formułą...* tekstu.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, iż zaliczenie *Formuły Lymphatera* do wspomnień Tichego nastąpiło tylko raz, właśnie w *Księdze robotów*. Od tego momentu nowelę drukowano wielokrotnie, najczęściej we wznowieniach tomu *Opowiadania*, grupującego utwory samodzielne, rozproszone, niezwiązane z żadnym spośród kilku cykli Lemowych opowieści. Konsekwentnie opuszczano przy tym wprowadzony przez „Iskry” nagłówek. Nie zdarzyło się natomiast, by trafiła do którejś z licznych w ciągu ostatnich 43 lat edycji *Dzienników gwiazdowych*, choć znalazł się w nich napisany znacznie później *Profesor Dońda*, o kilku nowych podróżach Tichego nie wspominając.

Nasuwa się więc pytanie: czy zaliczenie w 1961 r. *Formuły Lymphatera* do cyklu *Ze wspomnień Ijona Tichego* było pomyłką edytora, skutkiem nieuważnej korekty, czy też jest to istotnie opowiadanie o Tichym. A może, bo i taka okoliczność winna zostać rozpatrzona, tekst pomyślany został jako rozwinięcie cyklu *Ze wspomnień...* i tak go zrazu – zgodnie z intencją autora – opublikowano, lecz w jakiś czas później Lem uznał, iż *Formuła...* do *Dzienników gwiazdowych* nie pasuje i odtąd konsekwentnie umieszczał ją wśród opowiadań rozproszonych?

Pierwsza hipoteza wydaje się mało prawdopodobna. Lem znany był z dbałości o kształt swych dzieł, pracę edytora śledził uważnie, trudno więc uznać za słuszne domniemanie, iż w trakcie autorskiej korekty błąd wydawcy przeoczył. Pozostaje zatem hipoteza druga.

<sup>1</sup> S. Lem, *Księga robotów*, Warszawa 1961.

W tym miejscu wypada wreszcie ujawnić, skąd w ogóle biorą się wątpliwości. Odpowiedź jest prosta: wynikają one ze specyfiki rozpatrywanego utworu, który ze wspomnieniami Tichego coś niewątpliwie łączy, lecz i sporo od nich dzieli.

W większości opowiadań z owego cyklu bohater *Dzienników gwiazdowych* spotyka szalonych naukowców i podziwia ich wynalazki. To jeden z pierwszych a jednocześnie najpopularniejszych tematów fantastyki naukowej, doskonale znany z prozy Juliusza Verne’a, Herberta George’a Wellsa i innych klasyków gatunku. Natrafiamy nań nawet w *Lalce* Bolesława Prusa, w której przebywający w Paryżu Wokulski poznaje – przyjmując interesantów – jednego z takich maniaków: profesora Geista. Rozwijał go również – zwłaszcza na przełomie lat 50. i 60. – Stanisław Lem, tak we wspomnianej już serii, jak i w kilku opowiadaniach oddzielnych. W noweli o Tichym, opatrzonej zamiast tytułu rzymską jedynką, narrator jednoznacznie nawiązuje do fabularnego schematu i charakterystycznych bohaterów przywołanej konwencji:

– *Jak wiecie – miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiorę z nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes*<sup>2</sup>.

Na tym samym motywie – spotkania z niezwykłym badaczem – oparta została również *Formuła Lymphatera* i jest to z pewnością element, który ją ze wspomnieniami Tichego wiąże. Różnic jest wszakże więcej.

Rozpatrywane przez nas opowiadanie to w zasadzie monolog tytułowej postaci. Dodajmy jednak, że monolog skierowany do kogoś, do konkretnego słuchacza, którego życzliwość i ciekawość zachęcają narratora do zwierzeń. Sytuacja narracyjna ma zatem charakter dialogowy, choć czytelnik poznaje tylko wypowiedź jednego z uczestniczących w rozmowie bohaterów. O tym, że – mimo wszystko – mamy do czynienia z dialogiem, świadczą słowa kierowane przez Lymphatera do rozmówcy, raz będące reakcją na jego zachowania, innym zaś razem odpowiedzią na zadane przezeń, lecz niezacytowane pytania i uczynione propozycje. Na przykład takie:

*Co pan mówi? Nie, niechże pan tego nie robi – nie powinien mnie pan zapraszać. Naprawdę... dobrze, już, już siadam. Proszę? Tak, oczywiście, może być kawa. Cokolwiek, jeśli to – konieczne. O, nie. Co to – to nie. Nie jestem głodny*<sup>3</sup>.

Już choćby ów monolog odróżnia *Formułę...* od cyklu, z którym została formalnie powiązana w 1961 r. W opowiadaniach ewidentnie należących do serii *Ze wspomnień...* narratorem jest bowiem zawsze bohater *Dzienników gwiazdowych* – Ijon Tichy. Opinie ekscentrycznych uczonych bywają przezeń przytaczane w mowie niezależnej, co zapewnia ich bezpośrednie poznanie, a gawędziarzowi umożliwia wprowadzenie komentarza wartościującego odkrycia. W *Formule...* rolę się odwracają: narratorem okazuje się eksperymentator – Lymphater, a wypowiedzi drugiego z uczestników dialogu można się tylko domyślać. Nie znamy zatem jego punktu widzenia. Ocena wynalazku, o którego narodzinach opowiada bohater utworu, przerzucona zostaje w tej sytuacji na czytelnika, który – tak jak i słuchacz opowie-

<sup>2</sup> S. Lem, *Ze wspomnień Ijona Tichego, I*, [w:] S. Lem, *Dzienniki gwiazdowe*, Kraków 1982, s. 362.

<sup>3</sup> S. Lem, *Formuła Lymphatera*, [w:] S. Lem, *Opowiadania*, Kraków 1969, s. 208.

ści – dowiaduje się z wolna o moralnych wątpliwościach odkrywcy, których, nawiasem mówiąc, nigdy nie mieli inni znajomi Tichego.

Przypadkowy rozmówca Lymphatera, zauważony przez narratora w księgarni, gdzie kupował fachowe czasopisma, a następnie śledzony i w końcu z zażenowaniem poproszony o pozwolenie ich przejrzania, od pierwszego do ostatniego zdania opowieści pozostaje postacią anonimową. Ma wprawdzie pewien wpływ na treść wyznań opowiadacza, bo najwyraźniej interesują go szczegóły wysłuchiwanej historii, lecz – poza udostępnieniem mu naukowych żurnali i zaproszeniem na kawę – innej aktywności nie przejawia. A że opowiadanie – poza epizodycznymi – dalszych bohaterów nie ma, staje się jasne, iż albo jest to Ijon Tichy, albo ulokowanie *Formuły...* w cyklu *Ze wspomnień...* nie znajduje logicznego uzasadnienia. Tu jednak skazani jesteśmy na domniemania, gdyż personalia postaci autor przed czytelnikiem zataił: imię i nazwisko bohatera *Dzienników gwiazdowych* nie pojawia się w noweli ani razu.

Pragnąc zatem zbliżyć się do prawdy, zmuszeni jesteśmy odpowiedzieć na pytanie, czy tajemniczy rozmówca Lymphatera może być Ijonem Tichym. Narrator przypomina sobie w pewnym momencie, iż czytał niegdyś matematyczną rozprawę jego autorstwa. Posługując się naukowym, niewiele mówiącym humaniście żargonem, precyzuje nawet jej temat<sup>4</sup>. Pojęcia, jakich używa (*komitanty*, *afinory*), okazują się jednak terminami specjalistycznymi, o czym każdy może się przekonać, włączycywszy internetową wyszukiwarkę lub w *Encyklopedii Powszechnej PWN* odszukawszy hasło *afiniczna geometria*<sup>5</sup>, a nie – jak na ogół w *Dziennikach gwiazdowych* – żartobliwymi neologizmami. W całym zresztą opowiadaniu dominuje nastrój powagi, komizmu zdecydowanie brak. Kilka stron dalej Lymphater oświadcza wyraźnie, iż swego słuchacza uważa za matematyka<sup>6</sup>.

Tichego, „słynnego gwiazdokrańcę”, ciekawi wszystko, mogłaby więc i ona. To obieżyświat, co z niejednego pieca chleb jadał, różnych zajęć się imał i wielu się jeszcze podejmie. Przypisanie tak konkretnej i wymagającej szczególnych uzdolnień profesji kosmicznemu wagabundzie z *Podróży...* zakrawa jednak na absurd. W cyklu *Ze wspomnień...* jego zawód też pozostaje nieokreślony. Wiemy tylko, że dręczy go ciekawość: szuka oryginałów, dziwaków, niezwykłych ludzi... Rola matematyka-badacza, specjalisty w dziedzinie – jak wolno mniemać – geometrii nie-euklidesowych, zupełnie doń nie pasuje. Wymaga przecież „osiadłego” trybu życia, stałego zatrudnienia, skupienia się na pracy, co klóci się z wiecznym włóczęgostwem bohatera *Dzienników...* W tych okolicznościach utożsamianie rozmówcy Lymphatera z Ijonem Tichym nie wydaje się zasadne.

Podążmy wszakże dalej. Tichy – w relacjach z podróży osobistość komiczna, rzec można Münchhausen przyszłości, w części swych wspomnień zmienia się w postać poważniejszą: w zdumionego i przerażonego świadka oraz komentatora sza-

<sup>4</sup> S. Lem, *Formuła Lymphatera*, [w:] S. Lem, *Opowiadania*, Kraków 1969, s. 209.

<sup>5</sup> *Encyklopedia Powszechna PWN*, Warszawa 1983, tom I, s. 33.

<sup>6</sup> S. Lem, *Formuła...*, s. 229.

leństw, jakich dopuszczają się ludzie nauki. Tym razem nie jemu, lecz uczonym, których spotyka, nadany zostaje rys karykaturalny. Każdego z nich wyróżnia jakaś szczególna, zabawna, lecz i nieprzyjemna cecha. Corcoran na przykład jest „prze-  
 raźliwie chudy, kościsty, (nosi) ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony”<sup>7</sup>. Na dodatek to choleryk i gbur. Decantor to „rudzielec w sile wieku z okropnym zezem”<sup>8</sup> o jednym oku piwnym a drugim zielonym. Tchórz, a jednocześnie arogant, cynik, łajdak i chciwiec. Następnym okazem jest profesor Zazul, „garbaty pokurcz nieokreślonego wieku o twarzy odzianej w skórę zbyt jakby obszerną – tyle [...] na niej zmarszczek i fałd; do tego miał krótszy miesiąc szyi i trzymał głowę zawsze bokiem, jakby chciał obejrzeć własny garb, ale się w połowie ruchu rozmyślił”<sup>9</sup>. Cechuje go nieprzyjemny, skrzekliwy głos i wyjątkowa złośliwość. Czwarty z galerii dziwaków, Molteris, liczy sobie około 50 lat i ma nierówną twarz: „jej lewa połowa cała była mniejsza, jakby nie nadażyła we wroście za prawą i wskutek tego kął ust, skrzydełko nosa, szpara powieki były po lewej drobniejsze, przez co twarz jego na zawsze przybrała wyraz przygnębionego zaskoczenia”<sup>10</sup>. Wynalazca jest dumny, nieufny oraz impetyczny. Uzupełniający tę kolekcję oryginałów doktor Diagoras „wyglądał na jakiegoś montera czy rzeźnika. Był to brzuchacz o krótkiej szyi, w przepoconej mycce na głowie, bez surduta [...]. Twarz miał pozbawioną wyrazu, [...] jakby zbyt wielką, niekształtną, z obwisłymi policzkami. [...] oczy w niej były jasne i ostre jak nóż”<sup>11</sup>. Charakterystyki stworzonego znacznie później profesora Dońdy nie przytaczam, gdyż zbyt jest obszerna, a karykaturalne rysy postaci jeszcze wyrazistsze, choć – w odróżnieniu od poprzednio zaprezentowanych bohaterów – bardziej zabawne niż odpychające.

Na tle owego pocztu ekscentryków tak Lymphater, jak i jego rozmówca z *Formuły...* prezentują się zgoła odmiennie. Narrator opowiadania należy wprawdzie do tej samej kategorii postaci, o których Tichy wspomina w pierwszym ze swych wspomnień, zapoznanych wynalazców, pasjonatów, którzy życie poświęcili rozgryzieniu jakiegoś problemu, lecz w odróżnieniu od nich nie jest śmieszny, ani – tym bardziej – groźny lub odrażający. Ubogi, bo cały majątek poświęcił na badania, mocno zaniedbany i przymierający głodem, nieśmiały, pokorny, lecz wciąż dbający o osobistą godność, jest raczej postacią budzącą litość niż śmiech i przerażenie. Swą naiwną, dziecięcą wiarą w sukces bardziej przypomina magistra Czwartka, młodego entuzjastę nauki z wczesnego opowiadania Lema *Topolny i Czwartek*<sup>12</sup>, niż któregośkolwiek spośród niezwykłych znajomych Ijona Tichego. Nie jest też – jak późniejszy Dońda – postacią jednoznacznie komiczną.

<sup>7</sup> S. Lem, *Ze wspomnień Ijona Tichego, I*, [w:] S. Lem, *Dzienniki gwiazdowe*, Kraków 1982, s. 365.

<sup>8</sup> S. Lem, *Ze wspomnień Ijona Tichego, II*, [w:] ibidem, s. 378.

<sup>9</sup> S. Lem, *Ze wspomnień Ijona Tichego, III*, [w:] ibidem, s. 393.

<sup>10</sup> S. Lem, *Ze wspomnień Ijona Tichego, IV*, [w:] ibidem, s. 405.

<sup>11</sup> S. Lem, *Doktor Diagoras*, [w:] S. Lem, *Dzienniki gwiazdowe*, Kraków 1982, s. 451.

<sup>12</sup> S. Lem, *Topolny i Czwartek*, [w:] S. Lem, *Sezam i inne opowiadania*, Warszawa 1954, s. 5–45.

Z kolei powstrzymujący się od komentarzy rozmówca Lymphatera właśnie słowną wstrzeźliwością różni się od gadatliwego gdzie indziej i nie unikającego ocen Tichego. Obraz obu postaci kontrastuje tedy raczej z bohaterami cyklu *Ze wspomnień...* niż je przypomina.

Odmienny charakter ma również dzieło Lymphatera i z innych zrodziło się pobudek. Corcoran chciał poczuć się Bogiem. Stworzył więc wirtualne istoty i równie wirtualny, jakkolwiek realny z ich perspektywy świat, poza którego granice wydostać się nie mogły. Uczyniwszy to pojął, iż także on może okazać się rozumem, któremu nie dane będzie poznać Stwórcy, gdyż ten odciął się od swych dzieci. Decantor urzeczywistnił marzenie o nieśmiertelności, zapominając, iż wieczność ducha, którego odarto z ciała i pozbawiono możliwości zmysłowego kontaktu ze światem – to przekleństwo. Zazul – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – sklonował siebie. Powstała kopia, która go zabiła i zastąpiła. Molteris zbudował maszynę czasu i zginął, niepomny, iż podróżując przez lata, będzie się wraz z ich upływem starzał. Ostatni z szalonych badaczy, Diagoras, zapragnął wyhodować nowy gatunek istot, te zaś go unicestwiły. Każdy miał jakąś skazę i każdym kierowały niskie pobudki: pasja odkrywcy okazywała się tylko środkiem ułatwiającym zrealizowanie skrywanych marzeń o sławie, zamożności, potędze, o dorównaniu Stwórcy. Ujawniała głębokie kompleksy i potrzebę kompensacji, starannie maskowanych zadufaniem i pychą: brak pokory wobec natury i złość na jej opór.

Lymphater chciał zaś tylko pokazać, że można. Kierowała nim ciekawość. I – choć mu się udało, bo zbudował Nadistotę, która wiedzę o świecie uzyskiwała pozazmysłowo, a pomnażała w niewyobrażalnie szybkim tempie, jakiś pierwowzór Golema XIV z późniejszej prozy Lema – zniszczył ten twór, zrozumiawszy, iż z chwilą jego narodzin ród ludzki, spełniwszy swą ewolucyjną misję, stanie się zbędny. Odtąd pozostał mu już tylko niepokój o przyszłość własnego gatunku. Ktoś, kiedyś wpadnie bowiem z pewnością na wykryty przezeń trop...

Moralna ocena motywacji Lymphatera jest więc o wiele korzystniejsza od oceny pobudek, którymi kierowali się jego ekscentryczni koledzy.

Odmianą wartość ma też odkrycie. Każdy z wynalazców opisanych w serii *Ze wspomnień...* zajmował się albo naśladowaniem rozwiązań zastosowanych przez przyrodę, albo – jak Molteris – ich udoskonalaniem. Efekt tych wysiłków okazywał się zawsze złem, na ogół dla wynalazcy, czasem też dla innych. Corcoran perfekcyjnie skopiował ludzki rozum i zbudował dlań klatkę ze złudzeń. Co uczyniwszy, zwątpił w realność siebie i otoczenia. Decantor postąpił jeszcze gorzej: odciął świadomość od świata, niczym go – nawet iluzją – nie zastępując. Zazul powielił siebie, a że był zły, zgubiła go własna natura. Diagoras pozornie wybrał inną drogę, bo miast powielać, tworzył. Kreując, odwoływał się jednak do doświadczeń ewolucji, więc – choć wyhodował gatunek wcześniej nieznaną – pomnożył tylko byty niedoskonałe, takie, jakie przyroda sama mogła zbudować. A że dążenie do przetrwania jest w niej najwyższym prawem, te, walcząc o życie, zabiły swego twórcę. Molteris pragnął niezależnie człowieka od czasu. Padł jednak ofiarą własnych złudzeń, gdyż w samej naturze tkwią ograniczenia, o których zapomniał.

Zło, sygnalizowane zrazu komiczną i odpychającą fizjonomią postaci, objawia się mocniej, gdy poznajemy ich motywacje, metody pracy i dzieła, równie jak bohaterowie groźne, zdumiewające i... zbędne. Ich ocena okazuje się ujemna, co wynika z subiektywnego, ludzkiego sposobu wartościowania: dobre jest tylko to, co człowiekowi – w sensie indywidualnym i zbiorowym – przydatne. Z perspektywy zewnętrznej, uwzględniającej dążenia i cele natury, owe dzieła nie podlegają w ogóle ocenie: funkcjonują poza sferą wartości, gdyż przyroda nie zna ani aksjologii, ani etyki. Tu liczy się wyłącznie nowa jakość, doskonalszy byt, którego powstaniu opisane wynalazki nie służą. Przyczyna tkwi w stosowanej przez odkrywców metodzie naśladownictwa: wszystko, co skopiowali, wykorzystując inny budulec, natura już z czegoś stworzyła. Nawet Molterisowy wehikuł czasu okazuje się urządzeniem, które przyspiesza tylko naturalny proces starzenia się organizmu. Rzekomo twórczy aspekt naukowych odkryć sprowadza się zatem do powielania błędów, jakie popełniła niegdyś i na jakich „uczyła się” ewolucja.

Kopiując to, co w innej formie istnieje od dawna, nie wchodzimy w konflikt ani w sojusz z naturą, nie realizujemy bowiem, ale też nie udaremniamy celu, do którego obiektywnie, jakkolwiek nieświadomie zmierza. Powstające w tych warunkach złudzenie niezależności prowadzi do niepamięci o tym, iż jako część przyrody poruszamy się – chcąc, nie chcąc – w wytyczonym przez nią kierunku i sprawia, że prywatną, ludzką hierarchię wartości uznajemy za uniwersalną. Miraż trwa dopóty, dopóki nasz system aksjologiczny i powiązana z nim etyka nie wejdą w konflikt z koniecznością właściwą przebiegającym w świecie procesom. Gdy to następuje – objawia się „syndrom Lymphatera”.

Ten bowiem działał inaczej niż opisani wcześniej wynalazcy. Nie naśladował natury, nie kopiował tego, co samorzutnie powstało. U podstaw jego rozumowania tkwiło założenie, by niczego nie powtarzać, lecz dążyć do stworzenia rozumu, jakiego ewolucja – przebiegając w ściśle określonych warunkach – zbudować nie mogła: doskonalszego. Owa odmienność myślenia wyraźnie dzieli go od poprzedników. Lecz jest coś jeszcze: „postęp” dokonujący się za sprawą postaci znanych z cyklu *Ze wspomnień...* nie oznacza – jak się rzekło – pojawienia się w świecie nowej jakości. W jego wyniku nie rodzi się Rozum wyższego rzędu, lecz nieudolna podróbka (Diagoras) lub proteza (Molteris) tego, który już jest. Szczytowym osiągnięciem jest idealne, lecz pozbawione praktycznych zastosowań powielenie (Corcoran, Decantor, Zazul). Rozwój przebiega zatem wszcz, poziomo, podczas gdy odkrycie Lymphatera oznacza skok w górę. Zbudowana przezeń Nadistota staje się następnym – po człowieku – ogniwem łańcucha ewolucyjnego, gatunkiem, do którego odtąd należał będzie świat. Stworzenie jej nie podlega ocenie moralnej, gdyż stanowi cel natury, która właśnie po to wyposażyła człowieka w możliwości czyniące ową kreację realną, by stała się ona nieuchronna i konieczna. Skoro bowiem coś da się zrobić, prędzej czy później zrobione zostanie. Człowiek okazuje się tedy narzędziem ewolucji, która – pozornie zabrnąwszy w ślepy zaułek – by ruszyć dalej, musi wykorzystać i poświęcić najdoskonalsze ze swych osiągnięć. Przypisywanie jej moralności byłoby zaś oczywistą antropomorfizacją i absurdem.

Ocena twórczej aktywności pozostaje więc niezmiennie oceną subiektywną, czysto ludzką. W przypadku naśladownictwa stworzony przez nas system wartości doskonale się sprawdza, gdyż ewolucja działa ślepo, metodą prób i omyłek, i albo przypadkowo spada na dobre rozwiązanie, albo gubi stworzone przez siebie życie. Poprzestając na kopiowaniu, świadomie podejmujemy ryzyko błędu, więc i za skutki naszych działań ponosimy odpowiedzialność.

Jednakowoż tworzenie, które omija pułapki procesu ewolucyjnego i tym samym umożliwia jego kontynuację, uwypukla niedostrzegany z tej perspektywy, nowy aspekt zagadnienia. Okazuje się bowiem, że wchodząc w swoiste przymierze z naturą i realizując jej plan, możemy działać logicznie, lecz wbrew uznawanym przez siebie wartościom, co oznacza nieuchronny konflikt między rozumem a wyznawaną przezeń etyką. Identyczne zderzenie następuje wtedy, gdy – mając na względzie respektowane dotąd wartości – oponujemy teleologicznym procesom zachodzącym w przyrodzie. W obu przypadkach przeświadczenie o uniwersalności naszego systemu aksjologicznego zanika, pojawia się natomiast refleksja, iż to samo działanie, rozpatrywane z różnych punktów widzenia, może być jednocześnie dobre i złe. To właśnie wspomniany już „syndrom Lymphatera”.

Świadomość zła, jaka rodzi się w jego umyśle po odniesionym sukcesie, jest relatywna, związana z ludzkim punktem widzenia. Wynika z kompleksu niższości wobec istoty, którą bohater wykreował i obawy o przyszłość ludzkości. Tymczasem powstały w efekcie jego działań twór, jako nowe ogniwo ewolucyjnego procesu, czyli nowa w świecie jakość, nie podlega ocenie. Jego narodziny były konieczne, a stosunek do ludzkości pozostaje neutralny. Ona mu nie przeszkadza, ale też do niczego nie jest potrzebna. Odwrotnie, w mniemaniu ludzi nowy Rozum jest potrzebny, lecz jako sługa tylko, niewolnik, co większe mając możliwości, wykona pracę, której sami nie możemy podolać. Takie zaś nadzieje doskonalszy byt może uznać tylko za mrzonki, bo tak nas niebotycznie przewyższa, że ludzkie problemy jawią mu się niewartymi zachodu. Budzi zatem podziw, ale i niechęć, zawiść i przerażenie, choć nie ma po temu racjonalnego powodu. Źródłem tych emocji okazuje się świadomość, że odtąd świat należy nie do człowieka, lecz do niego.

Mimo chwilowej ulgi, jaką przyniosło Lymphaterowi zażegnanie niebezpieczeństwa, bohater wie, iż *status quo*, jakie ocalił, jest nietrwałe, to bowiem, co stworzył i zniszczył, wróci, gdyż właśnie doskonalszy Rozum jest następnym po człowieku celem natury. Wie również, że wpisując się w jej plan – krzywdził, lecz krzywdząc – ustanawiał dobro. I że sprzeczności, której doświadczył, uniknąć nie mógł.

O ile postacie z serii *Ze wspomnień...* podlegają – tak jak ich twory – moralnej, negatywnej ocenie, o tyle Lymphater – jako swoisty instrument ewolucji, która sama nie mogąc pójść w akcie tworzenia dalej, nim się posłużyła – nie powinien. Tamci są tragicomiczni i zasługują na potępienie, śmieją, lecz i budzą grozę. Bohater *Formuły...* jest natomiast jednoznacznie tragiczny, bo stworzył nową wartość kosztem starej, której sam był częścią. I choć się cofnął, wie, że ucieczka przed tym, co nieuchronne, nie zda się na nic. Można mu tylko współczuć.



Okazuje się tedy, że gdy ludzka aktywność wpisuje się w nieznaną plan natury, wolność zamienia się w konieczność, a etyczny aspekt podejmowanych działań, obiektywnie rzecz biorąc, zanika. Nie ma bowiem podziału na dobro i zło, gdy w grę wchodzi realizowanie celu wytyczonego przez przyrodę: kontynuacja i postęp ewolucji. A mimo to pojawiają się wątpliwości: to nasza świadomość zapętała się we własnym produkcie – w etyce.

Stąd bierze początek dylemat Lymphatera, który wie, że procesu, jaki zainicjował i zatrzymał, nie wyhamuje na długo. Z punktu widzenia ludzkości jego działanie okazuje się zbawienne – przedłuża jej panowanie nad światem. Patrząc z zewnątrz, stanowi krok bezmyślny, przejaw dzieciennego buntu przeciw naturze, która ostatecznie i tak zwycięży; odroczenie egzekucji wydanego już wyroku.

Litość nad ludzkością, której kres nadszedł; litość nad sobą, skazanym wraz z całym gatunkiem na wiedzę o wypełnieniu zadania i bezcelowości dalszego istnienia... Przerażenie mizérią własnego intelektu wobec mocy nowego Rozumu... Świadomość, że mimo pozorów wolnej woli, człowiek jest bezsilny wobec natury i jej dążeń – to są doznania Lymphatera. Litość i trwoga: skutki doświadczenia tragicznego wyboru.

Wolność, a tym samym również odpowiedzialność, są produktami ludzkiej jaźni i jako takie funkcjonują tylko w sferach zbudowanych i ogarnianych przez rozum. Ewolucja nie zna tych pojęć, tak jak i etycznych zasad. Ma cel – tworzenie doskonalszych form bytu, lecz pozbawiona świadomości stwarzania i niszczenia nie jest również zdolna do moralnej oceny tych działań.

Stwierdzenie, że etyki nie można odnieść do ewolucji, jest o tyle ważne, iż moralne rozdarcie okazuje się dylematem „zawinionym” tyleż przez naturę, co i przez samego człowieka, ceną, jaką płaci on za świadomość. Z perspektywy przyrody *homo sapiens* jest bowiem tylko elementem serii coraz doskonalszych bytów, powstałym po to, by dać początek bytowi jeszcze doskonalszemu.

Świadomie lub nieświadomie spełniając tę misję nie czyni zatem ani dobra, ani zła. Obiektywnie rzecz ujmując, winien być wolny od etycznych rozterek; także wtedy, gdy się od jej realizacji powstrzyma lub przeciw niej wystąpi. Niemniej – nie jest, choć dramat rozgrywa się tylko w jego myślach, co w żaden sposób nie wpływa na tok nieuchronnych procesów.

Lem zdaje się w ten sposób rozwijać i pogłębiać modną na przełomie lat 50. i 60. problematykę analizowaną wcześniej przez świeżo wówczas w Polsce odkryty egzystencjalizm. Rozpatrzmy więc rzecz nieco szerzej.

Egzystencjalista skupia się na opozycji między świadomością a materią (ja – świat), między sobą jako częścią natury a świadomością, której ona nie posiada (ja, organizm – ja, rozum), wreszcie – na relacjach między własnym duchem a duchowością innych ludzi (ja, rozum – inne rozумы). Zauważa, że jest nieskończenie wolny, lecz i nieskończenie odpowiedzialny. W skrajnych przypadkach – jak Camus w *Obcym* – wyprowadza stąd wniosek, iż moralność, obyczaj i konwenans, jako wytwory rozumu, nie muszą obowiązywać, byle człowiek był gotów ponieść konsekwencje ich odrzucenia.

Świat przyrody egzystencjalista uważa jednak za skamielinę, która z uwagi na brak świadomości jest wobec człowieka obojętna, a przez to odbierana przezeń jako wroga. Nie widzi natomiast, że materia znajduje się w ciągłym, pozornie przypadkowym ruchu, który – choć nierozumny – pozostaje ruchem celowym. Jednym zaś z charakterystycznych jego przejawów jest ewolucja, w wyniku której rodzi się i doskonali życie.

Egzystencjalista – nie mogąc, oprócz ludzi, dostrzec innych bytów rozumnych – wychodzi z założenia, że skończyła się ona z chwilą, gdy na świecie pojawił się *homo sapiens*. Przyjmuje to za dogmat. Tymczasem ciąg przemian – jakkolwiek niezaaważalnie – trwa nadal, a jako część natury i zarazem jej półprodukt uczestniczymy w nim niezależnie od swej woli i świadomości. Podlegamy więc zewnętrznemu zdeterminowaniu, co oznacza, że wolność – absolutna, zdaniem egzystencjalisty – bynajmniej absolutna nie jest. Z tego zaś wynika, że i odpowiedzialność za pochodne wobec woli działania nie może być nieograniczona. Wypływa stąd kolejny, logiczny i nieuchronny wniosek, że i zasady etyki są relatywne: czyn konieczny nie podlega moralnej ocenie.

Zauważmy: presja wywierana przez innych ludzi nikogo nie zwalnia od moralnej odpowiedzialności za podejmowane w jej wyniku czyny. Inaczej jednak ma się rzecz wtedy, gdy wolna z pozoru wola inspiruje działania oponujące lub przeciwnie – sprzyjające determinizmowi przyrody. Bunt przeciw naturze staje się wtedy nielogiczny, jakkolwiek zbieżny z zasadami stworzonej przez ludzkość etyki; podporządkowanie się przyrodzie godzi natomiast w moralność, choć ten właśnie sposób postępowania sugeruje logika. Rozum i etyka skonfrontowane z naturą popadają ze sobą w ostry i nierozwiązywalny, tragiczny konflikt.

Dostrzeżony przez egzystencjalistów na innej płaszczyźnie absurd egzystencji zyskuje tedy nowy wymiar, gdyż jego przyczyną – paradoksalnie – staje się sam człowiek, a ściślej – zbudowany przezeń świat wartości. Świadomość zapętla się w nim, gdyż popychając człowieka do działań zgodnych lub przeciwnych celowym, acz bezrozumnym planom przyrody, sprawia, że ich następstwem okazuje się jednocześnie dobro i zło. Naturze to obojętne, człowiekowi – nie.

Powodem tragizmu egzystencji nie jest tedy wyłącznie natura, która tak a nie inaczej nas ukształtowała i uczyniła swą częścią. Przyczyna tkwi również w nas.

Dajmy jednak spokój filozofii i wróćmy do zagadnień formalnych, raz jeszcze nawiązując do postawionego na wstępie pytania, choć waga zawartych w *Formule Lymphatera* refleksji zdaje się przesądzać odpowiedź. Czy aby na pewno jest to fragment *Dzienników gwiazdowych*?

Najwyraźniej odmienną niż w *Formule...* postać przyjmują przecież także schematy fabularne zastosowane w utworach tworzących jej kontekst. W swoich wspomnieniach Tichy relacjonuje przebieg wizyt, jakie złożył uczonym (Corcoran, Zazul, Diagoras) lub którzy go odwiedzili (Decantor, Molteris). Występuje tedy w dwóch rolach: gospodarza lub gościa, co – odpowiednio – nadaje mu albo status postaci uprzywilejowanej wobec rozmówcy, albo – przeciwnie – ogranicza swobodę wypowiedzi, reakcji i zachowań. Tymczasem w *Formule...* spotkanie z Lymphaterem

odbywa się w miejscu publicznym, neutralnym; dochodzi doń na ulicy, by zaraz potem przenieść się do restauracji. Takiemu zaś charakterowi miejsca odpowiada zachowanie słuchacza opowieści: milczenie.

We wszystkich wspomnieniach Tichy ma też okazję ujrzeć na własne oczy rezultat pracy uczonego; widzi tedy kolejno: „żyjące” w świetle uludy „skrzynie” Corcorana, uwięzioną w kryształach „nieśmiertelną duszę” Decantora, wehikuł czasu Molterisa, „klon” Zazula i fungoidy Diagorasa. Nadistoty zaś zbudowanej przez Lymphatera zobaczyć nie może ani domniemany Tichy, ani nikt inny, gdyż w chwili, gdy wynalazca relacjonuje przebieg swych zmagani z rozwiązywaniem problemem, jego twór od kilkunastu lat nie istnieje. Uczony może więc równie dobrze być tragicznym geniuszem, co zbiegiem z domu dla psychicznie chorych, a rozstrzygnięcie tej kwestii autor pozostawia decyzji czytelnika.

Wszystko, co dotąd zostało powiedziane, wskazuje dość jednoznacznie na to, iż *Formuła Lymphatera*, choć nawiązuje do klasycznego wzorca opowieści o szalonym naukowcu, w jakiej utrzymane są utwory włączone do cyklu *Ze wspomnień...*, wyraźnie odbiega od charakterystycznego dla nich szablonu. Tajemniczego rozmówcę Lymphatera niełatwo utożsamić z Ijonem Tichym. Sam zaś Lymphater, jako postać tragiczna, zdaje się raczej kontrastować z ekipą żałosnych „wynalazców”, których opisano w *Dziennikach gwiazdowych*. Odmienne są jego motywy, sposób rozumowania i wreszcie – samo odkrycie. Nade wszystko jednak – o ileż bogatsze okazują się zawarte w utworze refleksje filozoficzne! Biorąc zatem pod uwagę tak aspekty formalne, wyraźnie w stosunku do poprzednich opozycyjne, jak i znacznie głębszą wymowę tekstu, mógłby on stanowić zamknięcie serii, jej zwieńczenie czy podsumowanie.

Cykl wspomnień Tichego był jednak kontynuowany, choć kolejne opowiadania (*Profesor Dońda*, *Kongres futurologiczny*), a także powieści (*Wizja lokalna*, *Pokój na Ziemi*) bliższe były konwencji przyjętej w *Podróżach...* W tej sytuacji wypada opowiedzieć się za drugą z wymienionych na początku hipotez. Opowiadanie o Lymphaterze najprawdopodobniej napisano z myślą o uzupełnieniu wspomnień Tichego, lecz przekonawszy się, że utwór zbyt daleko odbiega od wykorzystanej w nich „recepty”, Lem nie wprowadził go nigdy do *Dzienników gwiazdowych*, traktując od jakiegoś momentu jako odrębną, samodzielną opowieść. *Formuła Lymphatera* poczęła odtąd żyć własnym, niezależnym życiem. I dobrze się stało, bo widać, że to całkiem inna historia...

*Lymphater's Formula* by Stanisław Lem: a lost tale of Ijon Tichy?**Abstract**

In 1961 Stanisław Lem published a collection of stories entitled *The Book of Robots*, which, among other short prose forms, included the first printed appearance of *Lymphater's Formula*. It was preceded by an inscription "*from the memoirs of Ijon Tichy*", which suggested that this text was a continuation of one of the two cycles, usually published together as *The Star Diaries*. The short story was republished many times in the following years, yet it was never included in *The Diaries...*, and the inscription that had appeared in *The Book of Robots* was consistently ignored.

The present article is an attempt to answer the question why it has happened so. Having noted that the name *Ijon Tichy* does not appear even once in the analysed story, which is the greatest difficulty – though not the only one – in assigning the story to the cycle *From the memoirs...*, the author of the article compares the text of *Lymphater's Formula* with other stories, habitually included in the series, and points out the thematic and formal similarities and dissimilarities between them. The results of this multidirectional comparative analysis lead to a conclusion that *Lymphater's Formula*, most probably written as the ultimate closing chapter of Tichy's memoirs (which would explain the inscription in *The Book of Robots*), when judged from a distance, displayed such a diversity from other stories that Lem considered it to be a separate, independent tale. This hypothesis is supported by the appearance of other stories featuring Ijon Tichy, which made it definitively impossible for *Lymphater's Formula* to act as "the last chapter".